Nr. 16. We Lwowie dnia 16. kwietnia 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Rok 1848 w Krakowskiem i w Galicji

przez

Bolesława Limanowskiego.

Po strasznych wypadkach 1846 r., znękana i zrujnowana Galicja leżała u stóp rządu wiedeńskiego. Biurokracja, wydoskonalona przez Metternicha, panowała w całej Austrji, ale nigdzie jej panowanie nie było tak bezwzględnem i uciążliwem, jak w nieszczęśliwym kraju przykarpackim. Potargano tu wszystkie węzły społeczne, poodrywano od siebie członki organizmu, zwaśniono wszystkie klasy, stany, wyznania. I osnuwszy jak pająk siecią ten podarty i krwawiący się organizm, ciągnęła z niego soki różnojęzyczna chciwa zysku i władzy biurokracja. A jednak w tym powalonym o ziemię narodzie, skazanym — jak się zdawało — na śmierć już pewną, nurtowały nowe zasoby siły żywotnej, wytworzone i nagromadzone w długiej męczeńskiej pracy w ciągu ostatnich lat piętnastu. To może nam tylko wytłumaczyć wypadki 1848 roku w Galicji.

Kiedy nadbiegła do Wiednia wiadomość o rewolucji lutowej w Paryżu, zapanowało silne wzburzenie umysłów w całej monarchji a szczególnie w stolicy. Ludność zapragnęła także dobrodziejstw nowego porządku. Metternich, zanadto zaufany w potęgę swej maszyny biurokratycznej, przecenił swoje położenie i jak niepyszny musiał w stosie brudnej bielizny uciekać z Wiednia przed gniewem ludu. A 15. marca w imieniu cesarza Ferdynanda ogłoszono, że nadana jest w całem państwie wolność druku ze zniesieniem cenzury i dozwolonem jest formowanie gwardji narodowej na zasadach posiadania i inteligencji. W dniu 20. marca monarcha obiecał nadać swoim ludom wolną konstytucję, a tymczasem, ogłaszając umorzenie procesów politycznych, ułaskawił skazanych za zdradę stanu. I naszym nieszczęśliwym męczennikom otworzono bramy więzienne Kufsteinu, Spielbergu i Munkaczu. Wracającym więźniom okazywano wszędzie serdeczną życzliwość, a kiedy przybyli do Wiednia, tysiączne tłumy witały ich okrzykiem: »Niech żyją Polacy!«

Lud krakowski już 15. marca upomniał się o zrabowane swe prawa. Na ulicach gwarnie snuły się tłumy ludu, przyozdobione w kokardy narodowe. Starosta Krieg, oszołomiony wypadkami wiedeńskiemi, słodko przemawiał. Tegoż dnia jeszcze krakowianie wybrali komitet narodowy i, pamiętając o swych braciach uwięzionych, pospieszyli tłumnie, by ich oswobodzić.

We Lwowie poruszyła się ulica w dniu 18. marca. Bohaterem jej został Jan Dobrzański, który najlepiej i najzrozumialej umiał wypowiedzieć to, co czuły i czego pragnęły tłumy ludu. Na wniosek jego, zaczęto podpisywać petycję do cesarza, która wyrażała najważniejsze żądania społeczeństwa demokratycznego. A więc domagano się przedewszystkiem zniesienia pańszczyzny i poddańczych powinności, zapowiadając, że właściciele dóbr chcą uczynić z tego dar swoim poddanym, następnie wołano o całkowitą wobec prawa równość obywatelską i polityczną mieszkańców wszystkich klas i wyznań; oddzielną administrację prowincjonalną; powszechną polityczną amnestję; reprezentację wszystkich klas mieszkańców na sejmie; zniesienie cenzury; uzbrojenie miast; ustawę municypalną; wojsko krajowe; ustanowienie sądownictwa publicznego i ustnego z sądami przysięgłych; język polski w szkołach, sądach i urzędach, oraz niezwłoczne zwołanie sejmu.

Na drugi dzień wyruszyła cała niemal

ludność na ulice. Była to niedziela i przytem pogoda najpiękniejsza. Tam gdzie podpisywano adres, zgromadził się tłumnie lud. Pojawiła się więc konnica węgierska, ale powitana przez lud radosnemi okrzykami, odpowiedziała salutowaniem broni. O godzinie 6 wieczorem wybrana deputacja poniosła petycję do gubernatora. Za nią postępowało co najmniej 15.000 ludu. Stadjon, ówczesny gubernator, przyjął deputację uprzejmie, oświadczył, że petycję odeszle do cesarza i, na żądanie uwolnienia więźniów, przyrzekł, że stanie się temu zadość na drugi dzień. Istotnie, w poniedziałek od godziny 9 z rana rozpoczęło się uwolnianie więźniów i trwało to do godziny 12. »Od bramy więzienia — opowiada jeden z obecnych — aż daleko w miasto formował lud szpaler, którym szli więźnie; z osobna każdemu: »Niech żyje!« krzyczano, kwiaty pod nogi ciskano, ręce i nogi całowano; najzasłużeńszych na rękach do miasta niesiono«.*)

We wtorek i we środę wrzało jeszcze we Lwowie. We wtorek dotychczasowy burmistrz miasta, Festenburg, podał się do dymisji. We środę, pomimo zakazu gubernatora i policji, odbyło się żałobne nabożeństwo za Wiedeńczyków poległych w walce o wolność. Wojsko stanęło na ulicy, ale zachowanie się jego było przyjazne dla ludności. W dniu 25. marca ogłoszono wolność druku, i tegoż samego dnia osławiony i znienawidzony Sacher ustąpił z posady dyrektora policji i wyjechał ze Lwowa.

Po porozumieniu się komitetów, wybrano tak we Lwowie, jak i w Krakowie deputację i ułożono »Podanie Polaków z Galicji i Krakowskiego«, które zostało wręczone cesarzowi w Wiedniu na audjencji 6. kwietnia. Do deputacji należeli: księża, właściciele ziemscy, mieszczanie, włościanie i żydzi. Deputowani obwodu tarnowskiego, gospodarze ziemscy, Wojciech Bonjur z Rzędzina i Stanisław Mielak ze Skrzeszowa ogłosili w tym przedmiocie sprawozdanie. Zaznaczywszy, że »zrównanie w obliczu prawa wszystkich stanów i wyznań jest zasadą przeważającą w całej Europie«, »Podanie« dalej powiada:

»Uwolnienie dotychczasowych poddanych od pańszczyzny i powinności poddańczych i nadanie im własności gruntów poddańczych, jest kwestją żywotną, a nawet faktem historycznym utwierdzonym z jednej strony wolą i gorącem życzeniem dotychczasowych właścicieli pańszczyzny, z drugiej – głosem powszechnym dotychczasowych poddanych«.

»Podanie« przedstawiło także cesarzowi, w jaki sposób miała być wykonana ta reforma społeczna. Życzeniem deputacji było, ażeby komitet tymczasowy ogłosił niezwłocznie o zniesieniu pańszczyzny i nadaniu włościanom własności gruntów rustykalnych w całym kraju, a sejm, złożony z przedstawicieli wszystkich klas, miał orzec o służebnictwach, dominjach, urbarjalnym podatku, uregulowaniu posiadłości, wogóle o wszystkiem, co z pańszczyzną i daninami miało jaki związek.

Trzeba przyznać, że program był dobrze pomyślany, ale właśnie już dla tego samego trudno się było spodziewać, ażeby uzyskał potwierdzenie rządu wiedeńskiego. O ile w naszym narodowym interesie wymagać wypadało, ażeby rozwiązanie sprawy włościańskiej wyszło od przedstawicielstwa narodowego, o tyle interes państwowy austrjacki skłaniał ku temu, ażeby postanowienie w tej sprawie zapadło w Wiedniu; a przytem biurokracja, pod wpływem której cesarz pozostawał, nie mogła się dobrowolnie zgodzić na uszczuplenie swej władzy i musiała przeszkadzać wszystkiemu, co prowadziło do większego zjednoczenia społecznego. Rzecz to była jasna. Lecz niestety tak w Poznańskiem jak w Galicji przeceniano rewolucyjność w Berlinie i Wiedniu i zapominano o najważniejszej zasadzie rewolucyjnej, że trzeba działać samym i działać szybko.

Gdyby komitety, krakowski i lwowski, uroczyście i stanowczo ogłosiły zniesienie poddaństwa i pańszczyzny, to wrażenie w kraju byłoby ogromne i ostatecznie zostałoby i przez właścicieli ziemskich i przez rząd wiedeński jako fakt spełniony przyjęte. Tego obawiano się w Wiedniu, i, skłoniwszy początkowo komitety do rozwiązania się, zwlekano z udzieleniem pozwolenia na ich organizowanie.

Przybywająca coraz liczniej emigracja w końcu marca i na początku kwietnia, przyniosła z sobą bardziej rewolucyjne poglądy. Wszędzie ją witano z wielkim zapałem i podnoszono jej zasługi w rozszerzeniu demokratycznych przekonań. Franciszek Waligórski w pieśni, poświęconej przybywającym z zachodu braciom wygnańcom, powiadał:

»Bo nie marno — twoje ziarno
Poświęcone — i skrwawione
W naszem sercu legło —

Silny korzeń tam wydało,
I gałęzią już wspaniałą
Ku niebu wybiegło!«

(C. d. n.)

*) Głos — ze Lwowa dnia 25. marca 1848. Seweryn Celarski doktor prawa.

Z pola naszej etnografji.

II.

Również nakładem Akademji Umiejętności w Krakowie świeżo ukazało się inne dzieło etnograficzne, które tak ze względu na obfitość zgromadzonego materjału, jak również ze względu na opracowanie tego materjału zasługuje na szczególniejszą uwagę. Dziełem tem jest »Lud Nadrabski« Jana Świętka*). Już samą swą objętością, wyróżnia się ono z pomiędzy wszystkiego, co się w ciągu ostatnich kilku lat na polu naszej etnografji pojawiło.

Nazwą »ludu nadrabskiego« obejmuje p. Świętek mieszkańców nadbrzeżnych Raby, w średnim jej biegu od Gdowa po Bochnię z dwudziestu dwóch wsi, po obu stronach rzeki położonych.

Jakkolwiek p. Świętek posługuje się tą samą metodą geograficzną co i Oskar Kolberg, jednakże (jak to już podniósł dr. I. Franko w swej recenzji dzieła niniejszego, umieszczonej w 2 zeszycie »Żytia i Słowa«) praca jego stoi o całe niebo wyżej pod względem naukowym od zbiorów niezmordowanego wydawcy »Ludu«. Na położenie ekonomiczne ludu, na jego prawo zwyczajowe zwraca p. Świętek wielką uwagę, czego u Kolberga prawie nie spotykamy. Pomimo iż okolice, z której pochodzą materjały zebrane przez p. Świętka, były już badane przez Kolberga i opisywane w jego »Krakowskiem« jednakże p. Świętek zdołał zgromadzić mnóstwo rzeczy wcale Kolbergowi nieznanych. Swoją drogą wielką ilość materjałów (zwłaszcza pieśni i przysłów) znanych już z pracy Kolberga i innych znajdujemy powtórzoną u p. Świętka. Jestto zresztą wspólną wadą wszystkich naszych zbiorów etnograficznych, że powtarzają one rzeczy już dawniej znane, zamiast podania wskazówek, odsyłających czytelników do zbiorów poprzednio wydanych.

Wieśniacy nadrabscy uważają się za Mazurów-Polaków i mówią gwarą mazurską. Mazury z nad Raby są wstrzemięźliwi w używaniu gorących napojów; opilstwo, kłótnie, swary i bijatyki po karczmach, które jeszcze przed dwudziestu laty wśród nich bardzo rozpowszechnione były, ustąpiły miejsca trzeźwości, a załatwianie sporów i niesnasek odbywa się na drodze sądowej i nierzadko także na drodze pokojowej. Niedzielne muzyki prawie ustały po karczmach, wyszły też z mody i wieczorne karczemne schadzki. Wszystko to odbija się na żydach, którzy długo utrzymać się nie mogą na karczmach i jeżeli nie biorą się do innego rodzaju przemysłu, to tracą na arendzie. Jakkolwiek lud nadrabski jest bardzo konserwatywny, jednakże bardzo chętnie dąży do reform w zakresie gospodarstwa, rolnictwa i t. d i coraz częściej używa niektórych maszyn gospodarskich, jak np. sieczkarni, udoskonalonego pługa, młynka niemieckiego i t. p. narzędzi. Do niedawna Mazurzy nadrabscy bardzo się opierali zakładaniu we wsiach swoich szkółek publicznych; przyczyny tego szukać należy w ich niedowierzaniu względem wszelkich zarządzeń, które pochodzą z góry. Jednakże bardzo chętnie na zimę, zwykle na sześć miesięcy sprowadzali prywatnego nauczyciela, wynajmowali dla niego izbę szkolną u jednego z gospodarzy, posyłali do niego swe dzieci i płacili mu tak żywnością, jak i pieniądzmi za jego trudy. Stąd też we wsiach większych rzadko się spotka kogo z młodszego pokolenia, do lat czterdziestu wieku płci męzkiej i żeńskiej, któryby jako tako czytać i pisać nie umiał. Szkoda, że p. Świętek nie podaje nam żadnych wiadomości, czytelnictwa ludu nadrabskiego dotyczących; byłaby to rzecz bardzo ciekawa.

Lud nadrabski odznacza się wielkiem przywiązaniem do swej ojcowizny. Emigracja zamorska jest zupełnie nieznana. Jeżeli rola nie daje komu dostatecznego wyżywienia lub też kto jej wcale nie posiada, ten wybiera się na zarobek do kopalni ostrawskich lub najdalej do Kongresówki, gdzie jest chętnie używany po dworach obywatelskich do drenowania gruntów.

Kraj, zamieszkiwany przez Mazurów nadrabskich, ciągnie się według ich przekonania »het het po za góry do morza« i jest pod władzą najbogatszego z ludzi — cesarza, który dba o dobro chłopów i któryby z pewnością chciał i potrafił ulżyć jego biedzie, gdyby panowie we Lwowie, rządzący ludem, chcieli mu przedstawić dolę tego ostatniego. Ale ci panowie nie dbają o chłopa i chcieliby pańszczyznę zaprowadzić na nowo. Wskutek tego, jeżeli przyjdzie jakiś urzędowy »kawałek« do wójta, zaprowadzający pewne zmiany w administracji gminnej za ich zgodą, chociażby nawet z korzyścią dla nich, gromada nie chce dać pieczęci, bo to może być »podrywka« dla zaprowadzenia pańszczyzny. »Panowie bałamucą ciągle cesarza, który im i tak nie bardzo musi wierzyć i ufać, bo się przebiera czasem i idzie pomiędzy chłopów w celu

*) Lud Nadrabski. (Od Gdowa po Bochnię). Obraz etnograficzny. Skreślił Jan Świętek (z 1 autotypją). Kraków, 1893. Nakł. Ak. Um., str. X. + 728.

przekonania się, jak to oni żyją i jak ciężko robią. Cesarz też nie da im zrobić krzywdy. Księża cieszą się wielkim szacunkiem i zaufaniem, wszystkie zaś inne stany: panowie, szlachta, inteligencja, nie wywierają na chłopa nadrabskiego żadnego wpływu. Kłania się on im do ziemi, czapkuje, ale nie wierzy, bo »na nich się już nieraz sparzuł i oszukał«.

Wspomnień historycznych lud nadrabski zachował niezmiernie mało. Opowiada on o jakimś królu, który był bardzo dobrym dla chłopów, nie dobrze jednak robił, że lubił żydów. Napady tatarskie i szwedzkie tkwią jeszcze w pamięci jego, a imię Szweda jest dotąd okropnie znienawidziane. Dobrze pamięta Mazur z nad Raby czasy pańszczyźniane, rewolucję z r. 1846 i powstanie r. 1863. O czasach pańszczyźnianych zachowują się podania jak najgorsze i nienawiść względem panów w nich przeważnie ma swe źródło. Panowie potrafili nawet cesarzowi, który się był dowiedział o smutnej doli chłopów, »jakosik« wytłumaczyć, że pańszczyzna dla chłopa jest potrzebna. Nie dość tego, że chłopi robili pańszczyznę panom, ci ostatni chcieli jeszcze wybić chłopów. »Césarz już dalij ściérpieć nié móg, pańszyznę zniósł«, a »chłopi pomścili się na panach za wszystko w r. 1846«. Mimo to dzisiaj chłopi nadrabscy potępiają sprawców rzezi 1846 r. i opowiadają, że ci wszyscy, którzy mordowali i rabowali panów marnie wyginęli, a śmierć ich była okropną. Z Moskalami, jak szli na Węgry w r. 1849 chłopom było dobrze, bo nikomu nie robili krzywdy i jeść dawali. Powstanie w r. 1863 było według twierdzenia Nadrabian wrogie dla ludu...

Mnóstwo również ciekawych wiadomości może zaczerpnąć z samego dzieła p. Świętka każdy, kogo sprawa ludowa bliżej obchodzi. Szczupłe ramki sprawozdania nie pozwalają nam zapuszczać się w szczegóły, to też odsyłamy czytelników do samego dzieła. Z pewnością nikt nie pożałuje czasu, straconego na pobieżne chociażby przejrzenie obszernego zbioru p. Świętka. Dla etnografów fachowych i folklorystów monografja p. Świętka przedstawia bogatą skarbnicę płodów twórczości ludowej, materjałów do medycyny ludowej, do prawa zwyczajowego i t. d. Samych opowiadań, z ust ludu zapisanych, z zachowaniem wszystkich właściwości gwarowych znajdujemy tu 81. Zagadek i przysłów jest też sporo. Materjał do wierzeń ludowych i jego demonologji również dość obfity. Słownik gwarowy obejmuje 38 stron drobnego druku. Strona zewnętrzna dzieła, jak i wszystkich wydawnictw Akademji naszej nie pozostawia nic do życzenia.

Na zakończenie powiemy słów kilka o najświeższym tomie »Bibljoteki Wisły«, zawierającym część pierwszą »Podań Żmujdzkich«, zgromadzonych i przełożonych na język polski przez znanego pracownika na niwie litewszczyzny p. Mieczysława Dowojnę Sylwestrowicza. Praca p. Sylwestrowicza jest bardzo ważnem źródłem dla folklorysty, chociażby z tego względu, że znajomość języka litewskiego jest bardzo mało rozpowszechniona, a podania litewskie, jak dotąd, były bardzo mało znane. Książce p. Sylwestrowicza możnaby uczynić kilka zarzutów. Pomijając już to, że nie znajdujemy żadnych wskazówek, któreby ułatwiały nam porównanie podań żmudzkich z podaniami innych, chociażby tylko sąsiednich szczepów — tego napróżno byśmy szukali w jakimkolwiekbądź zbiorze etnografów polskich — ale samo ugrupowanie materjału surowego pozostawia bardzo dużo do życzenia. Żadnego planu, żadnego systemu w zbiorku p. Sylwestrowicza niema. Wątki pokrewne, a nawet warjanty tej samej baśni rozrzucone po różnych częściach książki. Obok klechd i podań w dziwny jakiś sposób znalazły się wierzenia i przesądy, nic z zagłowkiem zbiorku wspólnego nie mające. Zagłówki, podawane na czele każdego podania, bardzo mało pouczają o treści tych podań, co niezmiernie utrudnia korzystanie z nich folkloryście. P. Sylwestrowicz podaje wprawdzie nazwisko opowiadaczy, od których zapisał umieszczone w zbiorku podania, jednakże my nic nie wiemy, co to są za ludzie, jakiego wieku, jakiej nawet narodowości, ponieważ nieledwie przeważna ich liczba nosi takie nazwiska jak: Aliszauskis (Olszewski), Kowalauskis (Kowalewski), Wiszniauskis (Wiszniewski), Limanauskis (Limanowski), Sasnauskis (Sosnowski) i t. d. Gdybyśmy wiedzieli to wszystko, w takim razie możebyśmy potrafili określić pochodzenie niektórych podań, które widocznie bardzo niedawno na Litwę przywędrowały. Znajdujemy między innymi np. dosłowne tłumaczenie znanej baśni A. Puszkina »O rybakie i rybkie« W każdym razie za zebranie dość znacznej ilości podań litewskich należy się p. Sylwestrowiczowi wdzięczność ze strony wszystkich folklorystów.

L. Wasilewski.

Wielebny John Creedy.

przez Grant-Allena.

II.

Ale wikarjusz i jego żona radowali się nadzieją, że ich starania będą uwieńczone skutkiem pożądanym i przekonywali Etelę, że to będzie dla niej dobrem. Zdawało im się, że propozycja młodego murzyna jest nie do odrzucenia, wmówili w siebie, że nie istnieją te zdrowe instynkta rasowe, na które stryj James kładł tak słusznie nacisk i usiłowali wmówić to także w Etelę. Cóż miała robić biedna dziewczyna; ciotka i wikary z jednej a John Creedy z drugiej strony — sta-

nowili zbyt wielką przeciwwagę dla jej uczuć. Po upływie dwu tygodni John Creedy postawił swe proste pytanie: »tak czy nie« i nawpół, mimowoli odpowiedziała »tak«. Ujął wtedy jej rączkę i gorąco ucałował same końce paluszków: coś wewnątrz mówiło mu, że nie powinien pocałować jej w usta. Wstrząsnęła się od tych pocałunków, lecz nie powiedziała nic. John zauważył to wstrząśnienie i pomyślał:

— Będę ją tak kochał i szanował, że zmuszę ją żeby mię także pokochała, chociaż mam czarną skórę. Bo przy wszystkich wadach swej natury murzyńskiej John Creedy był w głębi serca człowiekiem poważnym i uczuciowym.

I Etela rzeczywiście, kochała go do pewnego stopnia. Była to taka dziwna mieszanina uczuć. Jako duchowny, człowiek oddany nauce i praktykom religijnym, zajmował dostojne stanowisko, z tego względu Etela była nietylko zadowolona z niego, ale nawet dumna; z innych jednak względów szła za niego z takiem uczuciem, z jakiem niektóre dobre katoliczki wstępują do klasztoru, — zdawało jej się, że to jest jej powołaniem.

Tak więc, nim upłynęły dwa miesiące, Etela Berry poślubiła Johna Creedy i wyjechali zaraz oboje do Southamptonu, a ztamtąd do Aximu. Ciotka Emilja płakała i pocieszała się nadzieją, że nowa praca im się powiedzie; ale stryj James nie mógł się pozbyć złych przeczuć co do wpływu Afryki na rodowitego afrykanina. — Instynkt to wielka rzecz, — mówił, kręcąc głową — wpatrzony w parowiec pocztowy zachodniego wybrzeża, który zwolna pruł nurty morza.

— Niech się tylko dostanie między swoich, zaraz instynkta zawładną nim, jestto tak pewne, jak że się nazywam James Berry.

*
* *

Mała misyjna siedziba w Butabue była prostym szałasem drewnianym, zgrabnie pokrytym liśćmi palmy wachlarzowej. Postawił ją i przyozdobił krajowiec, katecheta z Aximu wraz z żoną swoją przed przybyciem misji; Etela zastała więc gotowe mieszkanie po długiej podróży po rwących wodach rzeki Ancobra.

Przez pierwsze dziesięć lub dwanaście miesięcy listy Eteli do domu były pełne pochwał i miłości dla drogiego Johna. »Teraz, kiedym go poznała dobrze, dziwię się sobie, żem się lękała wyjść za niego — pisała — żaden na świecie mąż nie jest tak tkliwy, tak łagodny, tak względny. Przytem taki inteligentny, taki rozumny, taki światły. Trapi mię tylko obawa, że nigdy nie stanę się jego godną«.

John Creedy ze swej strony równie dobrze myślał o Eteli. Okazywał jej tkliwe poszanowanie; trzymał się może dalej od niej, aniżeli to jest we zwyczaju pomiędzy małżonkami, nawet w pierwszych miesiącach po ślubie, ale wynikało to z jego wrodzonej delikatności uczuć, wskutek której niemal bezwiednie uchylał głowy przed przepaścią głęboką, jaka ich wciąż dzieliła. Czcił ją, jakby jaki święty przedmiot, zbyt święty dla prostych śmiertelników.

Etela była mu pomocną we wszystkiem: taka była wesoła pomimo braków nieuniknionych w ich życiu, a nawet straszną gorączkę miejscową znosiła z tak spokojną rezygnacją, że John czuł w głębi serca, iż chętnie oddałby życie za nią, i że byłoby to małą ofiarą dla tak lubej istoty.

Pewnego dnia, wkrótce po przybyciu do Butabué, John Creedy zapytał katechetę po angielsku, w jaki sposób mógłby się najłatwiej nauczyć języka rodzinnego. — Opuściłem kraj, mając dziewięć lat — rzekł — więc wyszła mi zupełnie z pamięci mowa tutejsza. Katecheta odpowiedział mu zaraz w języku fantejskim. John Creedy spojrzał nań zdumiony i drgnął.

— Co on mówi? — zapytała Etela.

— Powiada, że się wprędce nauczę z samego osłuchania, ale co mię zastanawia, moja Etelko, to że go rozumiem.

— Przypomniałeś sobie poprostu. Taki jesteś zdolny do języków, że teraz, kiedy słuchasz ojczystego, przestał ci być obcym.

I rzeczywiście — przypomniał sobie. Jeszcze nie bawił sześciu tygodni w Butabué, kiedy umiał mówić po fantejsku tak biegle, jak otaczający go krajowcy. Jednakże z pewnym niepokojem spostrzegał, że każdy frazes, każdy wyraz, nawet czary pogańskie i modlitwy, jakie odmawiał będąc malcem, stawały mu teraz na pamięci żywo i bez wysiłku.

Powoli, z biegiem czasu, Etela zaczęła dostrzegać dziwną zmianę w wyobrażeniach i sądach Johna o murzynach. Z początku oburzał się i martwił ich pogaństwem i dzikością, ale w miarę, jak im się przypatrywał, to pogaństwo i ta dzikość wydawały mu się coraz naturalniejszemi w ich położeniu; a nawet sympatyzował z nimi do pewnego stopnia, lub uniewinniał ich zupełnie. Pewnego ranka, w jakie dwa miesiące później, zaczął sam z siebie mówić do żony o swym ojcu. W Anglji nie zdarzyło się to ani razu. — Przypominam sobie, że był to wódz, wielki wódz — rzekł — miał dużo żon, a matka moja była jedną z nich. Został pobity w War pod Kola i wtedy to wzięto mię do niewoli. Posiadał piękny pałac w Kwantach i znaczną liczbę ludzi, noszących wachlarze. Etela zauważyła z przestrachem, że zdaje się być dumnym i zadowolonym z naczelnictwa ojca. Znowu zadrżała z obawy, że instynkt zachodnio-afrykański bierze w nim górę nad chrześcianinem i gentlemanem.

Gdy sucha pora minęła i zebrano orzechy kokosowe, murzyni urządzili wielką uroczystość. John miał kazanie ranne pod gołem niebem, dla ludności zgromadzonej na rynku, wieczorem zaś

siedział z Etelą w chacie, czekając, żeby katecheta i jego żona przyszli na modlitwy, gdyż nawet tam spełniali ten zwykły obrządek wystawnie — rano i wieczorem. Nagle usłyszeli za drzwiami dziką muzykę, a na ulicy wrzawę, śmiech i krzyki wielkiego tłumu. John wsłuchiwał się, wsłuchiwał coraz baczniej.

— Słyszysz, Etelko? — zawołał. Tam-tamy! wiem, co to znaczy... To taniec wojenny, odbywający się zazwyczaj po zbiorach.

— Jakież to okropne! — rzekła Etela i cofnęła się, przelękniona.

— Nie bój się, najdroższa, — powiedział z uśmiechem — niema w tem nic złego. Ci ludzie bawią się tylko. I zaczął klaskać w dłonie do taktu z tam-tamami. Hałas zbliżał się coraz bardziej, a John za każdym krokiem nadchodzącej ciżby stawał się widoczniej podniecony.

— Słyszysz, Etelko? — odezwał się znowu. — To salonga! Jakaż to porywająca muzyka! przypomina bębny i piszczałki!... Przypomina kobzy. Przypomina marsz wojenny... Na Jowisza! zniewala do tańca. — Mówiąc to, zerwał się w sukni księdza anglikańskiego, (bo ją nosił nawet w Butabué) i zaczął skakać dokoła izdebki.

— Ach John, John — nie rób tego! — zawołała Etela — a gdyby tak katecheci weszli teraz!

Ale w Johnie krew wrzała. — Patrz — mówił rozgorączkowany — to się tak odbywa... Wystawiasz strzelbę... Dajesz ognia... Nacierasz nożami... Rąbiesz przed sobą... Podnosisz do góry głowę wroga... Ciskasz ją pomiędzy kobiety... Ach, jakie to wspaniałe!

Gdy mówił, czarne jego oczy iskrzyły się strasznie, a zaciśnięte ręce czarne drżały.

— John! — wykrzyknęła Etela, odchodząc od przytomności ze strachu — to jest niechrześcijańskie, nieludzkie, niegodne ciebie. Nie będę mogła kochać cię nigdy, nigdy, jeśli dopuścisz się jeszcze raz czegoś podobnego.

W jednej chwili twarz Johna zmieniła się, a ręce mu opadły, jakgdyby go przebiła nożem.

— Etelko — rzekł zcicha, czołgając się ku niej jak obity wyżeł. — Etelo, moja najdroższa, moja ukochana, com ja uczynił! O nieba, już nigdy nie będę słuchał tej przeklętej muzyki! Ach Etelko — na miłość boską, zlituj się nademną... Wybacz!

Etela położyła drżącą rękę na jego głowie. Ukląkł przed nią, z głową zwieszoną jak pokutnik. Podniosła go łagodnie, a w tej samej chwili wszedł katecheta z żoną. John wziął zaraz biblję i książkę do nabożeństwa, i zaczął czytać modlitwy wieczorne zwykłym swym, akcentującym tonem. W jeden moment dziki fentejczyk przemienił się znowu w poważnego kapłana oxfordczyka.

Zaledwie upłynął tydzień od tego czasu gdy Etela krzątając się w śpiżarce, zauważyła dużą skrzynkę drewnianą, starannie przykrytą. Otworzyła ją i z wielkim przestrachem zobaczyła w środku beczułkę araku murzyńskiego. Wydobywszy ją, postawiła w widocznem miejscu na środku śpiżarni i nie rzekła ani słowa. Owej nocy usłyszała, że John jest w dżingli w tyle podwórza; wyjrzawszy, dostrzegła w mroku, że zawzięcie rąbie beczułkę w kawałki siekierą. Przez cały następny tydzień był dla niej jeszcze lepszy i tkliwszy, niż zwykle.

W rok po przybyciu, Etela, wróciwszy pewnego wieczoru z silną gorączką ze swej szkółki dla dziewcząt, nie zastała męża w chacie. Szukając w śpiżarni flaszki z chininą, znowu napotkała beczułkę od araku, tym razem pustą. Przestraszona, pobiegła do sypialni. Leżało tam na łóżku poszarpane w kawałki europejskie ubranie Johna. Izdebka zakręciła się w koło biednej kobiety, okropna prawda zabłysła w jej umyśle. Po raz pierwszy, odkąd była w Afryce, wyszła sama jedna późnym wieczorem pomiędzy chaty w szeroką aleję, stanowiącą główną ulicę w Butabué. Tak oddalona była od kraju swego, tak zupełnie samotna pomiędzy tymi czarnymi ludźmi, tak smutna w głębi serca, tak nurtowana tą palącą i pochłaniającą trwogą! Chwiała się i zataczała, niewiedząc jak i dokąd idzie. Nareszcie, w końcu ulicy, pod dwiema wysokiemi palmami daktylowemi zobaczyła światło i usłyszała krzyki i śmiech. Zgraja tubylców — mężczyzn i kobiet, tańczyła, wydając dzikie wycia. W pośrodku koła mężczyzna, odziany po krajowemu, z obnażonemi ramionami i nogami, wrzeszczał na całe gardło pieśń fantyjską, towarzysząc sobie na tamtamie. Boże, czyżby ten krzyczący dziki mógł być Johnem Creedy?

Tak, instynkt przemógł cywilizację; John Creedy podarł odzież angielską i, mówiąc językiem zachodnio-afrykańskim — sfantejczykował się. — Etela patrzyła nań blada, struchlała. Nie rozpłakała się, nie zemdlała, nie przemówiła choćby jednego słowa. Ciżba murzynów rozstąpiła się w prawo i w lewo i John Creedy zobaczył żonę, stojącą, niby postać marmurowa. Krzyknął przeraźliwie, otrzeźwiał w jednej chwili i pobiegł do Eteli. Nie odepchnęła go, nie odezwała się wcale, była niema i zimna jak trup, niepodobna do żyjącej kobiety. Wziął ją w swe silne objęcia, położył jej główkę na ramieniu i niósł do domu pomiędzy długimi szeregami chat, krytych słomą; szedł wyprostowany, pewnym krokiem, jak kiedy poraz pierwszy przebywał nawę kościoła w Walton-Magna. Potem położył ją ostrożnie na łóżku i przywołał żonę katechety.

— Ma febrę — rzekł po fantyjsku — siedź przy niej.

Murzynka, spojrzawszy na Etelę, odpowiedziała.

— Tak, to żółta febra.

Istotnie tak było. Zanim jeszcze nieszczęsna kobieta zobaczyła Johna, już w niej tkwiła febra,

która po tem strasznem odkryciu wybuchła z całą siłą. Leżała nieprzytomna na łóżku, z otwartemi oczyma, bez kropli krwi, bez znaku życia w twarzy.

John Creedy napisał kilka słów na kawałku papieru, dał parę zleceń po fantyjsku kobiecie, siedzącej przy łóżku, poczem wybiegł, jak szalony i znikł w ciemnościach.

* * *

Było trzydzieści mil przez dżinglę, szlakiem krajowców do najbliższej stacji misyjnej w Effneuta, John wiedział, że jest to siedziba dwu misjonarzy metodystów, bo nieraz dopływał tam statkiem, żeby ich zobaczyć. Przybywszy do Afryki, tak samo nie umiał torować sobie drogi w miejscu, gdzie się rzeka rozdziela, na tym krętym trakcie dżinglowym, jakby nie mógł przelecieć po czubach palm kokosowych; ale teraz nawpół nagi, bosy i podniecony silnem wzruszeniem, biegł ścieżką w ciemnościach, jak każdy prawdziwy Afrykańczyk, dopóki nie przebył całych trzydziestu mil i nie zapukał o świcie do chaty misyjnej.

Jeden z misjonarzy odryglował drzwi ostrożnie. — Czego chcesz? — zapytał po fantyjsku bosego dzikiego, który skulony stał w progu.

— Przynoszę pismo od misjonarza Johna Creedy — odpowiedział dziki tymże językiem — prosi o odzież europejską.

— Czy przysłał list?

John podał złożony papier, z którego misjonarz wyczytał, że ludność w Butabué zrabowała chatę Johna Creedy nocną porą i skradła mu ubranie; nie może więc wyjść za próg, dopóki nie będzie miał odzieży europejskiej.

— Dziwny traf — powiedział misjonarz — brat Felton umarł trzy dni temu na febrę. Jeśli chcesz, to weź jego ubranie dla brata Creedy.

Półnagi dziki skinął głową na znak, że się zgadza.

Odzież zmarłego brata Feltona została na prędce zapakowaną i bosy mężczyzna, w powrocie przez dżinglę, przebył znowu z węzełkiem w ręku tę samą drogę to sposobem węża, to tygrysa i nie wypoczął, nie zatrzymał się ani razu, dopóki nie dotarł do polanki, przylegającej do wsi Butabué. Tam stanął na chwilę za kępą dzikiego imbiru, wyjął z węzełka suknię księżą i włożył ją na siebie. Następnie zbyt dumny, aby się skradać, pewien siebie, przeszedł z podniesionem czołem główną aleją i spokojnie przestąpił próg chaty, w skwarne popołudnie afrykańskie.

Etela wciąż leżała nieprzytomna, a murzynka drzemała po nocy, spędzonej bezsennie.

— Otwierała oczy? — zapytał murzynki.

— Ani razu, Johnie Creedy — odrzekła. Dotąd mówiła doń — panie.

Czuwał nad martwą postacią godzinę lub dwie. Naraz oczy chorej zaczęły przybierać inny wyraz; rozszerzone źrenice zwężyły się nieco. John poznał, że przytomność wraca stopniowo.

Po chwili spojrzawszy na niego, zawołała słabym głosem, w którym zdawała się budzić jakąś nadzieja: — Skąd wziąłeś to ubranie?

— To ubranie? — odpowiedział z cicha — Etelko najdroższa, musisz mieć gorączkę, jeżeli o to pytasz. Wziąłem je od Standena w Oxfordzie, High Street — i pogładził czarną ręką jej rozpuszczone włosy.

Etela krzyknęła radośnie:

— Więc to był sen, straszny sen, Johnie, albo też okropna pomyłka? O Johnie, powiedz, że to był sen?

John przesunął powoli dłoń po czole.

— Etelo najdroższa... Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć...

— Więc nie podarłeś swego ubrania i nie tańczyłeś z tam-tamem na ulicy?

— Ależ nie, Etelko! musiałaś mieć straszną malignę!

— Nie byłoby to nieszczęściem. Bez żalu umarłabym teraz.

Znużona wpadła w jakiś sen gorączkowy.

— Johnie Creedy — uroczyście odezwała się żona czarnego katechety po fantyjsku — skłamałeś przed tą umierającą kobietą; odpowiesz za to swoją duszą.

— Moją duszą! — wykrzyknął John namiętnie, uderzając się w piersi zaciśniętemi pięściami. — Moją duszą? Czy myślisz, podła murzynko, że nie oddałbym mojej biednej, nędznej, czarnej duszy na wieczne męki tysiąc razy, gdybym tylko mógł dać jej serduszku jedną chwilę zapomnienia, zanim umrze?

W ciągu pięciu dni gorączka trawiła Etelę. Niekiedy była przytomna parę minut, ale po większej części majaczyła lub spała. O strasznym owym śnie nie wspomniała już ani słowem i John także o nim nie mówił. Ale siedział przy niej i pielęgnował ją tkliwie.

Piątego dnia otworzyła raz jeszcze oczy.

— Johnie — odezwała się słabym głosem — Johnie, powiedz mi, daj słowo honoru, że mi się to tylko przywidziało w gorączce.

John, wzniósłszy rękę ku niebu, odpowiedział pewnym głosem.

— Przysięgam!

Etela uśmiechnęła się i zamknęła oczy — po raz ostatni.

Następnego ranka John Creedy — bez łez, ale ze spieczonemi usty, jakby odurzony i zdrętwiały, wziął motykę, własnemi rękoma wykopał grób w miękkim gruncie nadrzecznym i ze czcią ułożył w nim zwłoki. Nie pozwolił nikomu pomódz ani się zbliżyć, nawet chrześcijanom — katechecie i jego żonie. Następnie włożył na sie-

bie białą komżę i po raz pierwszy i jedyny w życiu przeczytał nad otwartym grobem bez drżenia w głosie anglikańskie modlitwy za umarłych.

* * *

Dziś stary mulat portugalczyk, handlujący arakiem w Butabué, może wskazać każdemu pionierowi angielskiemu, co się udaje nad rzekę, który to z gromady murzynów, leżących w miękkim piasku przed chatą, był niegdyś wielebnym Johnem Creedy z kolegjum Magdaleny w Oxfordzie.

Przekłady z języka polskiego.

Powiastka H. Sienkiewicza »Pójdźmy za nim« ukazała się w tłumaczeniu francuskim w dwutygodniku paryskim „Le Correspondent«. Przekładu dokonała p. E. de Baulny, Francuzka, autorka po polsku napisanej powieści »Romans profesora«. »Nafta« Sewera (Maciejowskiego) ma wyjść po angielsku. W Lipsku, nakładem księgarni Wilhelma Frydrycha wyszedł przekład »Janka Cmentarnika« Wł. Syrokomli, dokonany przez dra M. Morgenrotha. Nakładem tejże samej księgarni wyszedł zbiorek poezji A. Mickiewicza, J. Słowackiego, Z. Krasińskiego, A. E. Odyńca, K. Morawskiego i W. Pola pod tytułem »Izis«. Oprócz tego tamże wyszła »Pokusa« M. Balińskiego w tłumaczeniu W. Stroki. »Ksawery« M. Konopnickiej wyszedł po niemiecku. Komedja A. Fredry „Świat się kończy« została przełożona na język węgierski przez p. Radnotfay'a i wyszła w Peszcie. »Haasyf« ilustrowany rocznik historyczno-literacki, wydawany w Warszawie przez A. Sokołowa umieścił tłumaczenie hebrajskie »Jeremjasza« K. Ujejskiego. »Mirtala« E. Orzeszkowej wyszła po hebrajsku w Warszawie. »Pan Tadeusz« A. Mickiewicza w świetnym przekładzie chorwackim T. Maretica wyszedł w Zagrzebiu nakładem »Maticy hrvatske«. Wyjątki z tego przekładu zamieszczał już tygodnik obrazkowy Vienac«. Dotąd »Matica hrvatska« wydała następujące rzeczy polskie. »Starą Baśń« J. I. Kraszewskiego, »Kirdżalego« A. Czajkowskiego«. »Hanię« H. Sienkiewicza, »Farysa« A. Mickiewicza, »Ojca Zadżumionych« J. Słowackiego, »Marję« A. Malczeskiego i parę powiastek M. Grabowskiego. W Lublanie ukazały się dwa ostatnie tomy ilustrowanego wydania słoweńskiego »Ogniem i Mieczem« H. Sienkiewicza, wydane nakładem »Maticy słoweńskiej«. Ilustracje wykonał Emil Zillich. »Marja Stuart« J. Słowackiego ma być wkrótce wystawiona na scenie moskiewskiej w przekładzie M. Janczuka. W »Birżewych Wiedomostiach« znajdujemy powiastkę M. Parczewskiej »Przewodnik po Tatrach«. Opowiadanie ludowe Br. Grabowskiego »Za przyjaciela« zostało wydane w »Narodnej bibliotece« Marakujewa w Moskwie. »Zlata Praha« zamieszcza »Lilje« A. Mickiewicza w przekładzie Mużika. W Pradze wyszedł przekład czeski »Programu badań psychologicznych« I. Wł. Dawida. Czeskie pismo »Svatveczer« podało humoreskę F. Świderskiego »Drobnostkowicze«. »Praktyczne przepisy pieczenia ciast świątecznych« Florentyny i Wandy wyszły po rusku. »Janka Muzykanta« H. Sienkiewicza znajdujemy w miesięczniku gruzińskim »Mambe« (Goniec), wychodzącym w Tyflisie. »Stłuczona lalka« G. Zapolskiej została przełożona na żargon moskalofilski i umieszczona w »Hałyczaninie«. *L. W.*

Przegląd pism.

»ATENEUM«. Marzec. 1894.

Jako pendant do umieszczonej w jednym z poprzednich tegorocznych zeszytów »Ateneum« rozprawki o pesymizmie, znajdujemy w marcowym numerze krótki traktacik o optymizmie, pióra długoletniego współpracownika »Ateneum« p. K., znanego ze swego pięknego, pełnego prostoty, stylu, prawdziwego stylu Śniadeckiego, a nacechowany tym samym idealizmem, który już przy przeglądzie poprzednich zeszytów omawianego czasopisma zaznaczyliśmy.

P. K. R. Żywicki z okazji wystawy w Chicago w dalszym ciągu swych szkiców rozpoczyna opis rolnictwa amerykańskiego.

W artykule dr. S. Wolickiej podany jest przebieg walk parlamentarnych w Anglji o prawa kobiety.

P. M. Płaza w treściwym zarysie historyczno-ekonomicznym przedstawia genezę upadku finansowego Grecji, zakończonego u schyłku ubiegłego roku formalnem bankructwem.

Sprawom ekonomicznym poświęca omawiany zeszyt dwa artykuły. W jednym p. L. Iwanicki zajmuje się z powodu brukselskiej międzynarodowej konferencji monetarnej w r. 1892 kruszcami szlachetnymi i kwestją waluty. Autor stawia swój własny projekt rozwiązania kwestji waluty, t. zw. monometalizm bimetaliczny, t. j. bicie monet z aljażu, zawierającego złoto i srebro w stosunku 1 : 15 ½, warunkując jednak praktyczną donieśłość nowego systemu monetarnego przez zgodne przyjęcie tegoż przynajmniej w wielkich państwach Europy i Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.

W drugim — p. B. Werner omawia traktat handlowy rosyjsko-niemiecki.

Cezary Jellenta w pięknym szkicu kreśli wizerunki artystyczne Andriollego i Matejki.

Beletrystykę reprezentują: dalszy ciąg powieści Konara p. t. »Siostry Malinowskie« i nowella Algosa p. t. »Sen — mara«, poezje: przekłady z Shelley'a pióra p. Nawrockiego.

Resztę zeszytu wypełniają kroniki: przyrodnicza p. Flaum'a i miesięczna B. Lutomskiego oraz bibljografja, rozbiory i sprawozdania. *p.*

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.